

Dariusz Rekosz

NA TROPACH TAJEMNIC

SEKRET STAREGO ZAMCZYSKA



Quidam

Wydawnictwo Tandum
www.wydawnictwo-tandum.pl

Copyright: © Dariusz Rekosz [2021]

Copyright for this edition © 2021 by Wydawnictwo Tandum

Ilustracje: Ola Makowska
Projekt okładki: Ola Makowska

Skład i przygotowanie do druku: Positive Studio
Redakcja i korekta: Katarzyna Szajowska
Korekta techniczna: Positive Studio

Wydanie I (w tej edycji)
ISBN: 978-83-8233-639-9
EAN: 9788382336399
ISBN e-book: 978-83-8233-640-5

Druk: Edica



ŚMIERĆ W GALERII

Burza rozszalała się na dobre. Błyskawice rozświetlały mrok kwietniowego wieczoru. Piotrek stał na zapomnianym przez Boga przystanku i patrzył, jak czerwone światła ciężarówki oddalają się w stronę wzgórza, na którym majaczył zarys zamku. Wiedział, że zamknięta w ładowni Julka nie poradzi sobie bez jego pomocy. Nasunął kaptur, poprawił plecak i ruszył za samochodem. Miał bardzo mało czasu...

* * *

Kilka godzin wcześniej...

– Skombinowałeś kasę? – zapytała, gdy kończył zawiązywać lewy adidas.

Podniósł głowę.

– Tyle, ile się dało – odparł po chwili.

Julka oparła się o kratę, oddzielającą szatnię od magazynku na makulaturę. Założyła ręce na piersiach. Jej kwaśna mina nie wróżyła niczego dobrego.

– To znaczy? – nie dawała za wygraną.

Piotrek podniósł się, przesunął dłońmi po obu nogawkach swoich dżinsów i złapał za plecak. Zgrabnie zarzucił go na ramię i mrugnął do Julki.

– Spoko – wycedził i ruszył do wyjścia.

Poszła za nim.

– Spoko? – zdziwiła się. – Jak to spoko? – Starąła się dotrzymać mu kroku. – No to masz czy nie masz?

Przeszli krótkim wąskim korytarzem, który kończył się schodami po prawej. Wbiegli na górę i Piotrek pchnął szkolne drzwi. Wyszli na zewnątrz. Trawniki wokół głównego placu zaczynały właśnie odżywać po nieco przydługiej zimie, a tuż za ogrodzeniem dostrzec już można było pierwsze pączki wiśniowych kwiatów, które za kilka miesięcy przeistoczą się w kwaśne ciemnoczerwone owoce.

– Mam trzy stówki – rzucił w końcu.

– Tylko trzy?! – zdziwiła się niebotycznie. – Pi-ter, on nie sprzeda Argentyny za trzy stówki! Przecież mówił.

– Wiem, co mówił! – przerwał trochę zbyt ostro, machając przy tym ręką. – Ale więcej nie mam i w najbliższym czasie nie będę miał. Julia, nie znasz moich staruszków?

– Masakra – odpowiedziała niemal szeptem.

– Wyłożę kasę i może się uda. Ot, takie buty.

Miał nadzieję, że swoim ulubionym powiedzonkiem – bo przecież wcale nie o prawdziwe buty tu chodziło – utnie tę nieco niewygodną rozmowę. Mylił się.

– Pi-ter, przecież facet powiedział wczoraj bardzo wyraźnie. Nie zejdzie poniżej pięciu stów.

– No i co z tego?! – Wzruszył ramionami. – Spróbuję się potargować.

Minęli szkolną furtkę, a następnie przepuszczając czerwonego golfa, przeszli przez drogę. Zostawili za sobą sklepik z używanymi ciuchami, potem aptekę i skręcili w jednokierunkową ulicę Żeromskiego, która prowadziła wprost do ulicy Kościuszki. To właśnie tutaj znajdowała się galeria staroci, prowadzona przez Franciszka Stasiaka –

starszego pana, znanego przez niemal połowę miasteczka.

Być może słowo „galeria” było nieco przesadzone, bo sklep pana Stasiaka zajmował jedynie parter przedwojennej kamienicy, gdzie kiedyś znajdowało się zwykle czteropokojowe mieszkanie. Bardziej pasowałoby tu chyba słowo „galerijka”, ale nad wejściem widniał szyld z napisem „Galeria Feniks”, no i tak już zostało.

Tuż po wojnie wszystkie pomieszczenia dawnego mieszkania trochę przebudowano, zmieniono ich charakter i wystrój, po czym zaadaptowano na sklep. Najpierw sprzedawano tam tekstylia –



materiały do uszycia sukienki, garnituru czy płaszcza – później (ale trwało to może z pół roku) lokal zmienił właściciela, który handlował warzywami i owocami. Pan Stasiak uruchomił swoją galeryjkę w połowie lat osiemdziesiątych dwudziestego wieku i... starzał się razem z nią.

Co można było tam kupić? Różne rzeczy. A więc: obrazy, małe rzeźby, stare dokumenty i mapy, trochę jakichś książek, znaczki pocztowe (oczywiście wiekowe), widokówki, poźółkłe fotografie, kilkanaście przedmiotów niegdyś używanego (imbryk, samowar, lampa naftowa, maszyna do szycia i takie tam), a nawet starodawne zabawki. Były też płyty gramofonowe oraz patefon z wielką tubą. Wszystko to nadgryzione zębem czasu i spowite warstewką kurzu.

Pan Franciszek nie był historykiem ani jakimś wyspecjalizowanym znawcą czy ekspertem. Gromadził to, co uważał za ładne bądź ciekawe i co – miał nadzieję – będzie mógł wcześniej czy później upłynnić. Jeździł po różnych targach staroci albo odwiedzał starszych ludzi w różnych zakątkach kraju i skupował co bardziej interesujące przedmioty. Z tego też powodu wolał, żeby to upłynnianie

odbywało się raczej wcześniej niż później. Zdarzało się także, że w galerii pojawiał się (często pachnący alkoholem) osobnik, który przynosił starość, jakim nie zainteresowałby się żaden lombard, i starał się go odsprzedać panu Stasiakowi. On czasami brał, a czasami odmawiał. Starał się mieć nosa, bo – jak już wspomniano – nie znał się na tym i nie zależało mu na „naukowym” podejściu do towarów.

To właśnie w galerii pana Franka Piotrek wypatrzył Argentinę. Julka aż pokraśniała, gdy poinformował ją o tym fakcie. Czym była tajemnicza Argentina? O tym za chwilę. Czas przedstawić naszych młodych bohaterów...

Mieszkali na tym samym osiedlu, w tym samym bloku, na tym samym piętrze. A co najważniejsze – chodzili do tej samej podstawówki. Przyjaźnili się od pierwszej klasy, a właściwie zanim do niej poszli, bo na osiedle Urbanowicza wprowadzili się ze swoimi rodzinami, gdy byli pięcioletkami.

Ponieważ na każdym piętrze znajdowały się tylko dwa mieszkania, rodzice Piotrka i Julki zakumplowali się bardzo szybko. I nie było najmniejszego problemu, gdy dziewczyna miała zjeść obiad u kolegi (lub odwrotnie), bo jej

rodzice (Elżbieta i Jacek) musieli akurat zostać dłużej w pracy. A pracowali w miejskim szpitalu, w którym zdarzało się, że nadgodziny wypadały znienacka. Rodzice Piotrka mieli własną niedużą firmę transportową. Dzięki temu pani Michalina (mama) mogła część swoich obowiązków wykonywać w domu, podczas gdy pan Marcin (tato) doglądał wszystkiego na miejscu.

Julka uwielbiała tańczyć. Kochała muzykę i przybyłe jakimś kawałku potrafiła podrygiwać, przytupywać i pisać. A gdy w szkole odbywała się dyskoteka, to nie było piosenki, którą by przepuściła. Oprócz tego lubiła... grać z chłopakami w nogę! Tak, tak! Dlatego bardzo często trzymała się Piotrka, który miał kilka futbolówek i gdy tylko było ciepło, wybiegał z nimi na osiedlowe boisko. Ale nie to fascynowało go najbardziej. Gdy był w drugiej klasie, dostał od taty cztery klasery ze znaczkami pocztowymi. Pan Marcin kolekcjonował znaczki jeszcze na początku szkoły średniej. Potem jakoś stracił do tego serce, ale zbiory pozostały i wędrowały z nim przez całe życie. Kiedyś w czasie gruntownego sprzątnięcia piwnicy w jednym z pudeł Piotrek natknął się na

wspomniane klasery. Najpierw zdziwił się niebotycznie, a później znaczki stały się dla niego prawie tak samo ważne jak piłka nożna! Co ciekawe – Julka dała się w to wszystko wciągnąć i można powiedzieć, że od tamtego sprzątnięcia znaczki zbierali już wspólnie. Chociaż oficjalnie klasery znajdowały się oczywiście w pokoju Piotrka.

Rozpoczął od dokładnego zapoznania się z kolekcją. Okazało się, że znajdują się w niej cztery prawdziwe perełki, których wartość... no, mniejsza z tym. Ale dla filatelistów były wyjątkowo wyjątkowe! Pierwszy z nich został wydrukowany w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym. Miał zielonkawy odcień i przedstawiał profil Adolfa Hitlera. Wyprodukowano go w Chile. Podobno pochodził z bardzo unikatowej emisji. Na drugim przedstawiono samolot dwupłatowy. Drukarze z Gwadelupy w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym piątym musieli źle ustawić matryce, które odbijały przód znaczka, wskutek czego nominal z ceną został na nim umieszczony jako jego lustrzane odbicie. Trzecia perełka pochodziła z Liechtensteinu. Przedstawiała popiersie jednego z tamtejszych władców. Gdy Piotrek zajrzał

do internetu, okazało się, że w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym czwartym wydano tylko dwadzieścia pięć tych znaczków! Czujecie?! Tylko ćwierć setki znaczków z jakimś księciem istniało na całym świecie! A może i mniej, bo nie można było wykluczyć, że niektóre z nich dokumentnie się zniszczyły. W końcu czwarty znaczek pochodził z Syrii. Nie był specjalnie stary ani wyjątkowo kolorowy. Miał piaskowy odcień i przedstawiał egipskiego faraona z charakterystycznymi atrybutami w rękach. W Polsce tylko dwie osoby miały ten unikat. Piotrek i jakiś facet z Koszalina. Poznali się internetowo. Dwukrotnie wymienili się mejlami, żeby potwierdzić fakt posiadania akurat TEGO faraona. O pomyłce nie mogło być mowy. Mężczyzna miał prawie pięćdziesiąt lat i od dziecka kolekcjonował znaczki. Przez pewien czas był nawet jakimś konsultantem Polskiego Związku Filatelistów, więc znał się na rzeczy i zadeklarował, że gdyby Piotrek miał jakieś problemy, to chętnie służy pomocą.

Piotrek szczyił się swoją kolekcją, a cztery wyjątkowe okazy traktował jak święte relikwie. Niektórzy jego koledzy pukali się w czoło i uważali go